ILUSTROWANY
# GŁOS NARODU
z dnia 22. Listopada 1902 r.

KILKA SŁÓW
## o Wieliczce i jej kopalniach

przez
**Feliksa Piestraka**, c. k. zarządcę salinarnego, z ilustracjami **Jana Czerneckiego.**



(Ciąg dalszy).

Ze względu na swą rozciągłość była kopalnia na trzy części podzielona, a mianowicie: góry stare czyli wschodnie, góry nowe czyli zachodnie i góry janińskie. Obecny podział zatrzymał dwa pierwsze nazwiska tj. gór wschodnich i zachodnich.

Za czasów Marcina Germana a więc w 17-tem stuleciu były następujące ważniejsze budynki i szyby światowe w mieście Wieliczce:

1) Kościółek św. Ducha (obecnie sala teatralna przy magistracie); 2) Karbarya (warzelnia soli): na północny-zachód od 1) 3) Wodna góra; 4) Góra Regis; 5) dwór p. Bachmistrza (obok góry Regis); 6) kościół św. Klemensa; 7) żupa (obecnie zamek salinarny); 8) żupny dwór (naprzeciw żupy); 9) Góra Daniłowicz; 10) Wójtostwo wielickie; Góra Górsko; 12) Góra Seraf; 13) Góra Loys; 14) Góra Buzenin; 15) Góra Bonnez; 16) kościółek św. Sebastyana; 17) Szyb Wola Boża; 18) Góra Lubomierz.

Z wymienionych budynków lub imion istnieją obecnie: 1) kościółek św. Ducha przerobiony na salę teatralną; 2) Góra Regis (obecnie szyb cesarza Franciszka Józefa); 3) Kościół św. Klemensa (obecnie kościół farny); 4) żupa (obecnie zamek salinarny); 5) Góra Daniłowicz (obecnie szyb Arcyksięcia Rudolfa; 6) Góra Górsko obecnie szyb Górsko); 7) Góra Loys (obecnie szyb Loys; 8) kościółek św. Sebastyana; 9) szyb Boża Wola. Reszta budynków rozpadła się w gruzy, została z biegiem lat zniesiona, lub przerobiona na budynki innym celom służące. Lecz i budynki z 17-tego stulecia pochodzące, które do naszych przechowały się czasów, przyodziały całkiem odmienną szatę, z wyjątkiem kościółka św. Sebastyana, który w swej prostocie przetrwał wieki, ubożuchny bo drewniany, niespożyty jednak bo z drewna modrzewiowego. Zamek salinarny był również świadkiem ubiegłych wieków i pamięta nawet czasy Kazimierza Wielkiego; zmienił się jednak z biegiem lat do niepoznania, warowne jego mury i zamkowa wieża już dawno rozpadły się w gruzy, z kaplicy zamkowej ślad nawet nie pozostał — i tylko ściany jego podparto wzmacniającymi filarami skutkiem kilkakrotnego zarysowania się murów, powodowanego zawaleniem się komór kopalnianych w jego sąsiedztwie leżących. Podobnie i kościół św. Klemensa przedstawiał się ongi całkiem inaczej, był bowiem obwiedziony murem wśród którego wznosiły się dwie kapliczki, w ostatnich jednak czasach zmieniono i przebudowano go zupełnie, do niepoznania.

Od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej było w Wieliczce 19 szybów światowych, z pośród których do naszych czasów 8 pozostało, a mianowicie: szyb Boża wola, Lois, Franciszek Józef, Górsko, Arcyksiąże Rudolf, Franciszek, Elżbieta, Józef i cała plejada szybików kopalnianych, służących różnym celom. Szybami dobywalnymi są obecnie: szyb Franciszka Józefa, szyb Elżbiety i szyb Józefa. Szyb Arcyksięcia Rudolfa służy do zjazdu i wyjazdu ludzi, zaś szyby Lois, Boża wola, Górsko i Franciszek są szybami wietrznymi, a oprócz tego Boża wola służy do spuszczania i wyciągania koni z kopalni. Na szybach dobywalnych są ustawione obok maszyn gończych maszyny wodociągowe, puszczane w ruch perjodycznie, a mianowicie w czasie poboru zamówionej solanki lub pompowania nagromadzonej w zbiornikach kopalnianych surowicy, której dopływy są bardzo nieznaczne.



MUZEUM W WIELICZCE.

Maszyny wodociągowe szybów Franciszka Józefa, Elżbiety i Józefa wyciągają rocznie około 13000 do 15000 m³ solanki, odpuszczanej całkiem bezużytecznie, gdyż mała jej część, około 4% całej ilości, służy do celów leczniczych i poprawy paszy.

Według rozbioru chemicznego dokonanego w r. b. przez docenta Uniwersytetu krak. dra Ignacego Lembergera, zawierają surowice wielickie w poprzeczniach „Mortis“ i „Appelshoffen“, V-go poziomu w głębokości 200 m. leżącego, zaczerpnięte, jednakowe składniki i stanowią nasycone roztwory soli kuchennej, w których nadto są rozpuszczone w małych ilościach sole wapniowe, magnowe, potasowe połączone z chlorem, kwasem siarkowym, węglowym i t. d.

Surowica z poprzeczni „Appelshoffen“ pochodząca okazała nadto wyraźne ślady jodu, skutkiem czego można ją uważać za nasyconą solankę jodową. Z porównania zawartości ilościowej składników chemicznych surowic wielickich z solankami rabczańskiemi a nawet „Reichenhall“ (Edelquelle) przychodzi dr Lemberger do wniosku, że surowice kopalni wielickiej przewyższają znacznie składem swoim nawet silną surowicę z Reichenhall tak pod względem ilości składników stałych jak i soli kuchennej; surowica zaś w poprzeczni „Mortis“ „Appelshoffen“ zaczerpnięta i 10-krotną ilością wody rozcieńczona, daje silniejszą solankę pod względem zawartości soli kuchennej i składników stałych, aniżeli solanki rabczańskie.

Opierając się zatem na powyższych danych, uważa dr Lemberger surowicę wielicką za znakomity czynnik balneologiczny, gdyż nadaje się do stosowania kąpieli o różnorakiem zgęszczeniu.

O użyciu leczniczem słonej wody wielickiej jak i o stosowaniu jej w przeróżnych chorobach wiedziano już w zamierzchłej przeszłości; bo nawet Schröter, o którego poemacie już poprzednio wspomniałem, zachwala wartość leczniczą solanek wielickich. Czy jednakowoż w wiekach ubiegłych istniały kąpiele solankowe w Wieliczce, tego nie wiemy, wiemy atoli, że za przykładem zaprowadzenia kąpieli słonych w Ischl poszła Wieliczka, gdyż w roku 1826 zaprowadziła kąpiele solankowe.

Racjonalne leczenie rozpoczęto właściwie w r. 1838, po zbudowaniu zakładu kąpielowego, którego inicjatorem i ożywczym duchem był fizyk salinarny dr Feliks Boczkowski. On był pierwszym, który poczynił dokładne spostrzeżenia nad skutkami kąpieli solankowych i spostrzeżenia te ogłaszał kilkakrotnie w różnych rozprawach naukowych, zaś w roku 1843-cim w dziełku pod tytułem: „O Wieliczce pod względem historji naturalnej, dziejów i kąpieli“ (nakładem i drukiem Wawrzyńca Pisza w Bochni). Z dziełka tego tchnącego ufnością w powodzenie dobrej sprawy i niosącego chorym rady zbawienne i serdeczne, dowiadujemy się o zawiązaniu się towarzystwa „akcjonarjuszów łazienkowych“ 110 członków naówczas liczącego, o urządzeniu zakładu kąpielowego w Wieliczce, o skuteczności kąpieli solnych i chorobach w których kąpiele takie mogą być

skutecznemi, wreszcie o Wieliczce samej i jej okolicy pod względem lekarskim i kąpielowym. Dziełko to, dawno zapomniane, przypominam chętnym czytelnikom, w szczególności zaś ludziom dbałym o rozwój miasta Wieliczki i interesującym się postępem pracy świeżo zawiązanego z 30 członków składającego się „Towarzystwa“ które niezrażone licznemi trudnościami, z wiarą i ufnością w zwycięstwo dobrej sprawy, pragnie wskrzesić dawne myśli Boczkowskiego i zbudować w Wieliczce zakład kąpielowy, mający służyć celom zbożnym i wzniosłym.

Oprócz wymienionych urządzeń, posiada salina wielicka dwa kompresory poruszające specjałki (pompy kopalniane) zapomocą ściśnionego powietrza, zakład centralny elektryczny służący do oświetlenia budynków manipulacyjnych i składów materjałów rządowych, jak również do poruszania tartaku i kolejki linewkowej powietrznej, dwie lokomotywy do odwożenia soli na stację kolei państwowej przeznaczone, wreszcie kuźnię i warsztat mechaniczny w którym wykonuje Zarząd konieczne naprawy i ostrzy górnicze narzędzia.

Kolejka linewkowa, przed kilku miesiącami zaledwie w ruch puszczona, łączy łańcuch wzgórz bogucickich piaszczystą glinę posiadających z szybem Steinhausera i służy do jej dowozu, celem zasypywania dawnych zrobów, komór i pustek, które niezasypane, mogłyby z czasem wywołać zawaliska, groźne dla miasta.

Toteż niedziw, że obawa zawalenia się miasta, wywołana całym szeregiem zawalisk znanych historycznie, a które w „Czasopiśmie Technicznem“ lwowskiem opisałem, rodziła przeróżne zarządzenia, dziś śmiesznemi się wydające, np. zakaz budowania domów murowanych lub wniosek przeniesienia miasta poza obręb kopalni (za panowania Marji Teresy), zarządzenia, wpływające niepomyślnie na rozwój miasta, należącego ongi do miast sławnych i bogatych, dziś zaś wskutek przyczyn i wpływów przeróżnych, pogrążonego w ruinie. Zastanawianie się nad przyczynami tego upadku jak również wskazanie środków do podźwignięcia miasta z obecnej niedoli, nie należy do rozprawki niniejszej, dlatego pomijam je, zaznaczam atoli, że wzajemnemi ustępstwami i silną a gorliwą pracą, dobremi chęciami ożywioną, możnaby wiele... bardzo wiele osiągnąć w Wieliczce, tem sławnem mieście ziem polskich, drogiem sercu Polaka.

Co się tyczy stosunków geologicznych pokładów solnych, to wspomnieć należy, że sole wielickie powstały w okresie trzeciorzędnej formacji, i że górotwór solonośny składa się z iłu solnego, gipsu i marglu. W górnych jego partjach występują sole zielone, barwy zielonkowatej, do 6% zanieczyszczenia ziemnego posiadające, rozrzucone w wielkich ciałach, składami zwanych, które z czasem, po odbudowaniu soli, zamieniły się w obszerne pustki komorami zwane, jak komora „Steinhauser“, Michałowice, Drozdowice i wiele innych, które rokrocznie tysiące żądnych wrażeń gości podziwia, unosząc ze sobą niczem niezatarte wrażenia.

Pod solami zielonemi są uławicone sole spiżowe, zmieszane z piaskiem drobnoziarnistym, nazwane zaś prawdopodobnie od górników ze Spiżu sprowadzonych, lub może od łacińskiej nazwy *spissum sal* (sól zbita, twarda), dla swej znacznej twardości. (C. d. n.)

A. P. CZECHOW.

# WINT.

Razu pewnego, w słotną noc jesienną, Andrzej Stiepanowicz Pieresolin powracał z teatru... Jadąc, rozmyślał o pożytku, jaki przynosiłyby teatry, gdyby w nich wystawiano sztuki o treści moralnej. Przejeżdżając około gmachu, w którym urzędował, przestał myśleć o pożytku teatrów i począł wpatrywać się w okna gmachu, gdzie, wyrażając się językiem poetów i marynarzy, sterował. Dwa okna pokoju dyżurowego były jasno oświetlone.

„Doprawdy, czyliż oni mordują się do tej pory nad dorocznem sprawozdaniem? — pomyślał Pieresolin. Siedzi ich tam czterech safandułów i dotąd jeszcze nie skończyli! Gotowi jeszcze ludzie pomyśleć, że ja im i w nocy spokoju nie daję... Trzeba ich wysłać do domu... Stój! — zawołał na stangreta.

Pieresolin wysiadł z powozu i poszedł do biura. Główne drzwi wchodowe były zamknięte, tylne wejście jednak, opatrzone tylko zepsutą zasuwką, stało otworem. Pieresolin skorzystał z tego i po upływie niespełna minuty stanął u drzwi pokoju dyżurowego. Drzwi były cokolwiek uchylone, więc Pieresolin zajrzał do wnętrza pokoju i ujrzał coś nadzwyczajnego. Za stołem, zawalonym wielkimi arkuszami rachunkowymi, przy świetle dwóch lamp, siedzieli czterej urzędnicy i grali w karty. Skupieni, nieruchomi, z twarzami zabarwionemi na kolor zielony od abażurów lamp, przypominali legendowych gnomów lub, niechże Bóg zachowa, fałszerzy monet... Większą tajemniczością okrywała ich jeszcze szczególna gra. Sądząc po ich ruchach, jakoteż po terminologicznych wyrażeniach, wykrzykiwanych od czasu do czasu, gra wydawała się wintem; wnosząc jednak z tego wszystkiego, co usłyszał Pieresolin, gry owej nie można było nazwać wintem ani nawet grą w karty. Było to coś niesłychanego, dziwnego i tajemniczego... Pieresolin rozpoznał w grających, urzędników: Serafina Zwizdulina, Stefana Kułakiewicza, Jeremiasza Niedojechowa i Iwana Pisulina.

— I jakże ty wychodzisz, djable holenderski?! — gniewał się Zwizdulin, patrząc roziskrzonym wzrokiem na swego partnera. — Któż cię tak nauczył? Ja miałem drugiego Dorofiejewa, Szepielewa z żoną no i Stepka Jerłakowa, a ty wychodzisz w Kofiejkina! Leżymy przez to, bez dwóch! Trzeba ci było wyjść, barania głowo, w Pogankina!

— No, i cóżby się z tego wyrobiło? — odburknął partner. — Gdybym był wyszedł w Pogankina, to Iwan Andreicz miał przecież Pieresolina.

„Moje nazwisko, niewiedzieć po co wplątali... wzruszył ramionami Pieresolin. — Nie rozumiem“.

Pisulin rozdał karty, i urzędnicy wywoływali znowu:

— Bank państwa...

— Dwa — w izbę skarbową...

— Bez atuta...

— Ty powiadasz, bez atuta?? Hm... Trzy, w rząd gubernialny... Jak ginąć — to ginąć, bierz licho! Tamtym razem wpadłem bez jednej na oświatę publiczną, to pewnie i teraz się położę na rząd gubernialny. Jazda!

— Mały szlem w oświatę publiczną!

„Nie rozumiem!“ — mruknął Pieresolin.

— Zadaję radcę stanu... Zrzuć tam, Jasiu, jakiego radcę honorowego albo gubernialnego.

— Po co mam dawać honorowego? Palniemy sobie Pieresolinem...

— A my twego Pieresolina po gębie... tak, po gębie... My tu mamy Rybnikowa. Wpadniecie, bez trzech! No, dawajcie tu Pieresolinową! Nie ma co chować jej, kanalii, pod wielki palec!

„Moją żonę obrażają — pomyślał Pieresolin.— Nie mogę zrozumieć...“

Nie chcąc już dłużej pozostawać w niewiadomości, Pieresolin otworzył drzwi i wkroczył do pokoju. Gdyby przed urzędnikami stanął sam czart z rogami i ogonem, to nie zdziwiłoby ich to i nie przeraziło do takiego stopnia, jak pojawienie się zwierzchnika. Gdyby im się nawet ukazał zmarły w roku ubiegłym egzekutor i zawołał do nich grobowym głosem: „pójdźcie za mną aniołki, do miejsca zgotowanego dla łotrów“, gdyby nawet zionął na nich chłodem mogiły, nie byliby pobledli tak, jak obecnie, na widok Pieresolina. Niedojechowowi z przestrachu puściła się nawet krew nosem; Kułakiewiczowi zaszumiało w prawem uchu i rozwiązała mu się najniespodziewaniej krawatka. Wszyscy rzucili karty, powstali z miejsc, spojrzeli na siebie, a potem utkwili wzrok w podłogę. Przez chwilę panowała w pokoju głęboka cisza...

— Ślicznie przepisujecie sprawozdanie! — przemówił Pieresolin. — Teraz rozumiem, dlaczego tak długo ślęczycie nad sprawozdaniem... Co robiliście tu przed chwilą?

— Myśmy tylko przez momencik, ekscelencyo... — bąknął Zwizdulin — oglądali fotografie... Odpoczywaliśmy...

Pieresolin zbliżył się do stołu i wzruszył ramionami. Na stole leżały nie karty, lecz fotografje zwykłego formatu, zdjęte z kartonów i naklejone na karty do gry. Fotografij było bardzo wiele. Przeglądając fotografje, Pieresolin odnalazł swoją, podobiznę swej żony, wielu swych podwładnych i znajomych...

— Cóż to za głupstwa... Jakże wy gracie temi kartami?

— To nie my wymyśliliśmy ekscelencjo... Uchowaj Boże... Naśladujemy tylko innych...

— Wytłómacz mi Zwizdulin, w jaki sposób graliście? Widziałem wszystko i słyszałem, jak biliście mnie Rybnikowem... No, czegóż się patrzysz? Przecież cię nie zjem? Wyjaśnij!

Zwizdulin stał długo zażenowany i bał się, lecz gdy Pieresolin począł się irytować, parskać i czerwienić się z niecierpliwości, usłuchał zwierzchnika. Zebrawszy wszystkie fotografje, stasował je i począł wyjaśniać:

— Każda fotografja, ekscelencjo, jak i każda karta ma swoje znaczenie... Tak samo jak w talji kart, mamy tutaj 52 fotografje, dzielące się na cztery maści... Urzędnicy izby skarbowej — to czerwień, rząd gubernjalny — trefle, urzędnicy z ministerstwa oświaty — karo, piki zaś reprezentują urzędników banku państwa... Dalej... Rzeczywiści radcy stanu — to asy, radcy stanu — to króle, małżonki dostojników IV i V



ZASYPYWANIE ZAWALONYCH SZYBÓW.

klasy — to damy, radcowie kolegjalni — walety, radcy dworu — dziesiątki itd. itd. Ja naprzykład, oto moja fotografja — jestem trójką, gdyż mam zaledwie tytuł sekretarza gubernjalnego...

— To ciekawe... Więc ja, wedle tej gry, jestem asem?

— Treflowym, małżonka zaś waszej ekscelencji — damą treflową....

— Hm... To bardzo oryginalne... Ano, spróbujmy zagrać! Zobaczę, jak to idzie...

Pieresolin zdjął palto i uśmiechając się niedowierzająco, zasiadł przy stole... Urzędnicy zajęli również miejsca, stosując się do rozkazu zwierzchnika, i rozpoczęła się gra...

Woźny Nazar, który przyszedł o godzinie siódmej rano zamieść pokój dyżurowy, był zdziwiony. Widok, jaki przedstawił się jego oczom, gdy wszedł do pokoju, był tak zdumiewający, iż pamięta go po dziś dzień nawet i wtedy, kiedy leży pijany i utraci całkowicie przytomność... Pieresolin blady, niewyspany i nieuczesany, stał przed Niedojechowem, i trzymając go za guzik, mówił:

— Zrozumże, iż nie powinieneś był wychodzić w Szepielewa, gdy wiedziałeś, że ja mam czwartego siebie-samego! Zwizdulin miał Rybnikowa z żoną, trzech nauczycieli gimnazjalnych, moją żonę... Niedojechow zaś miał bankowców i trzech malutkich z rządu gubernjalnego... Obowiązkiem twoim było zadać Kryszkina! Nie zważaj na to, że oni wychodzą w izbę skarbową! Oni mają siebie na myśli!

— Ja wyszedłem, ekscelencjo, w radcę honorowego dlatego, że oni mieli rzeczywistego...

— Ależ mój kochany, nie można grać w ten sposób! Cóż to za gra!? Tak grywają tylko szewcy. Zastanów się tylko!... Kiedy Kułakiewicz zadał radcę dworu z rządu gubernjalnego, to ty powinien byłeś zrzucić Iwana Iwanowicza Grenlandzkiego, boś wiedział, że on ma trzecią Natalję Dmitrjewnę i Jegora Jegorycza... Zepsułeś całą grę! Zaraz cię przekonam... Siadajcież panowie, zagramy jeszcze jednego roberka!

Wypprawiwszy osłupiałego Nazara, Pieresolin zasiadł z urzędnikami do dalszej gry.

Tłómaczył z ros. *G. W*.*

# KRÓL i BISKUP.

**Dr. Kazimierz Krotoski:** *Św. Stanisław, Biskup w świetle źródeł.*

Omawiałem już na tem miejscu tom pierwszy dzieła p. Krotoskiego o św. Stanisławie, podnosząc jak wielkie nadzieje do tej pracy przywiązywać się godzi. Tom drugi, który niedawno się ukazał, utwierdza mnie w tem mniemaniu tem bardziej, że mam przed sobą pierwszą część pozytywnych wniosków autora. Ogół czytającej publiczności nie zdaje sobie może sprawy z trudności, nieraz nieprzezwyciężonych, jakie nastręczają się badaczowi wieków średnich skutkiem niezmiernego lakonizmu źródeł, zwykle ułamkowych i niezupełnych, często mętnych i niepewnych, zawsze prawie zabarwionych tendencją stronniczą lub, gorszą od niej, specjalną fantazją średniowieczną. Głównem zadaniem, ale i pracą

ogromną, jest źródła te poddać dokładnej krytyce, odróżnić napływowy element tendencyjny czy fantastyczny od realnego pierwiastku faktu dziejowego i w ten sposób zniwelować drogi, do celu wiodące. Praca to niewdzięczna i żmudna, tem żmudniejsza, że zwalczać wypada nietylko przeszkody, i rezultaty dotąd utartych a błędnych badań. Nie cofnął się przed temi trudnościami p. Krotoski, bo zresztą, cofnąć się nie mógł, jeśli nie chciał, by praca jego spadła do rzędu nędznych elukubracyj czy też szantaży naukowych, ale, że obowiązek swój należycie pojął i zrozumiał, że, co większa, wypełnił go sumiennie sine ira et studio, to za wielką, za szanowną zasługę poczytać mu należy.

Nie będę się tu oczywista zapuszczał w naukowo-fachowe roztrząsania dzieła p. Krotoskiego, ni spierał się z nim o poszczególne wnioski czy twierdzenia — zawiodłoby to nas zbyt daleko — lecz ograniczę się do pobieżnego naszkicowania rezultatów, do jakich doszedł autor drogą skrupulatnej krytyki źródłowej i nowoczesnej metody historycznej, opartej na rozległem tle równorzędnych zjawisk dziejowych w innych państwach europejskich.

Założeniem pracy p. Krotoskiego jest, że już współcześni upatrywali w biskupie krakowskim świętego; założenie wielce trafne, bo stawiające kwestję na właściwym i przyrodzonym jej gruncie, ale naturalnie o tyle tylko trafne, o ile da się udowodnić. Pan Krotoski uczynił to bystrze i szczęśliwie, wobec czego miał już ułatwioną pracę z kronikami Galla i Kadłubka. Wykazał więc, że opowieści Galla o biskupie i królu dosłownie brać nie można, bo jest to utwór stronnika partji dworskiej, który jednak, nie śmiejąc stanąć w poprzek opinii ogółu, lawiruje dość niezręcznie między Scyllą łaski pańskiej a Charybdą tradycji, jednym tchem stawia zarzuty równocześnie osłabiając je lub nawet niweczac. Świadectwo późniejszego o cały wiek Kadłubka dzieli na dwie części. Pierwsza połowa idealizująca Bolesława, druga zaś św. Stanisława. Sprzeczność ta tłumaczy się duchem czasu, w którym z jednej strony dojrzał i wyszlachetniał duch kościelny, uwolniony z pętów krępującej go władzy świeckiej, z drugiej zaś strony rozkwitał wspaniały plon poezji rycerskiej, przerabiającej nieokrzesanych zabijaków feudalnych w świetnych i układanych rycerzy, co ciągnęli w świat szeroki pod znakiem „der Frawe Aventiure“ na krwawe boje i po sławę rozgłośną.

Od uroku wiejącego bądź co bądź z tajemniczej i tragicznej doli rycerskiego króla-wygnańca, trudno by się wyzwoliła fantazja Kadłubka, wykarmiona na legendach o Walgierzu Wdałym, o Gawinach i Lancelotach. To też w pierwszej części opowieści Kadłubkowej jest właśnie Bolesław takim bohaterem na obraz i podobieństwo zachodnich. Natomiast w części drugiej kronikarz pomny swego stanowiaska duchownego, nie szczędzi czarnych barw w opisie króla, by tem jaśniej wystąpiła postać świętego biskupa-męczennika, którego kult ogół duchowieństwa polskiego zaczyna wówczas szerzyć otwarcie i śmiało.

Podstawą interesującej nas przedewszystkiem części drugiej są jakieś dawne, zaginione kroniki, czasom św. Stanisława niewątpliwie bliższe, dlatego tem przedstawieniom Kadłubka z pewnemi zastrzeżeniami zupełną wiarogodność przyznać należy. Źródłom późniejszym, (ostatni Długosz,) zalety tej odmówić wypada, czego też autor nie omieszkał należycie uzasadnić.

Tak się w przybliżeniu przedstawiają rezultaty ostatniej pracy p. Krotoskiego.

Kto ciekawy, niech sam do książki zajrzy, a z czytania wyniesie i korzyść niemałą i sporo przyjemności zazna. Od dzieła naukowego wszak trudno wymagać więcej.

*Zygmunt Tarliński.*

JAN ŚWIERK.

# Z wycieczki na Śląsk.

Tak blisko nas, ów biedny szmat ziemi ojczystej, zwany Śląskiem górnym, a przecież tak nam daleko do niego!

Tak wiele jest ważnych powodów do tego, abyśmy starali się poznawać warunki tamtejszego bytu, a jednak tak mało wiemy o tem, co się tam dzieje!

Dlaczego?

Ah! gdyby na tym Śląsku górnym rozlewały się szeroką taflą, szafirowe nieba jezior włoskich, gdyby piętrzyły się tam w wspaniałej szacie świerków i sosen cichych, takie Karpaty ukochane — znalibyśmy drogę do Śląska od dawna i rwalibyśmy się tam z nastaniem wiosny, aby przez całe lato cieszyć się pobytem wśród piękna przyrody...

Niestety!... Śląsk górny dla tych, którzy szukają tylko ciszy i piękna, spokoju i uciech — zostanie jeszcze na długo — daleko...

Ma on lasy jodeł i sosen, ale skamieniałe i martwe, jak bolem najcięższych nieszczęść w głąb ziemi pchnięte... Ma on jeziora głębokie i straszne, ale bez wód toni i gwiazd odbijania, ma zato czarne szyby kopalni węgla, wśród których zamknęło się życie ludu śląskiego i tam opiera się gromom coraz nowszych nieszczęść.

Daleko nam na Śląsk dlatego, iż nie umiemy obejmować myślą i czuciem stron, odciętych linją kordonu obcego, bo przywykamy biernie do tej myśli, iż my, a oni, to coś oddzielnego, że łatwiej jest przesunąć się nam po szynach kolei mil bodaj 40, byle w Galicji, jak odjechać mil 4—5, ale — na Śląsk...

Ze wstydem przyznać musimy, iż nie byliśmy dotychczas na Śląsku górnym, więc mając kilka dni wolnych, wybraliśmy się.

— Gdzie? pytano nas ciekawie.

— A do Mysłowic, Katowic, Królewskiej Huty, gdzie się jeszcze da.

— Pod Prusaka?

— Broń Boże!.. My jedziemy do swoich przecie... wszak wszystko tam nasze...

— Może być, ale u nas tak się mówi. Jak który jedzie za robotą w tamte strony, to niby się mówi, że do Prus jedzie.

Właśnie w tem bieda, że u nas tak się mówi, myślę sobie, pożegnawszy sąsiadów. Niejeden raz słyszałem, jak panie wcale inteligentne mówiły, że jadą do Rosji, a w istocie wybierały się do Warszawy. Nieraz słyszałem jak panowie mówili: — u nas — w Rosji, a opowiadali o stronach Żytomierza lub Lublina... więc i bardzo wielu jeszcze „do Prus“ jedzie, gdy dajmy na to ma być w Poznaniu lub Gnieźnie...

Pociąg posuwa się szybko.

Za Trzebinią widok się zmienia. Z jednej strony las rozległy i miejscami ciemny, z drugiej strony piaski i nędzne pola. W oddali już widnieją wysokie kominy, a na horyzoncie rysują się ciemne, brunatne wstęgi dymów ścielących się w kierunku poziomym.

Przed Mysłowicami, zaraz za mostem na czarnej Przemszy biją w oczy chorągwie o barwach pruskich. Jest ich dość. I wielkie jak sztandary wojskowe i mniejsze jak do ozdoby bram tryumfalnych.

W tem miejscu, zaraz po prawym brzegu Przemszy poczyna się linia kordonowa i tu, restauracja pruska rozwiesiła chorągwi las cały, aby każdy przejeżdżający poznał i zrozumiał gdzie jest... Państwo „bojaźni bożej“, szmat kraju dzierżonego ręką „Malborczyka“, ich prawo i ich władza, oto, o czem należy pamiętać.

Wysiadłszy w Mysłowicach, puściliśmy się zaraz ku rzece, aby ujrzeć ów sławny „trójkąt“ czyli granicę trzech mocarstw. Od dworca kolei idzie się aleją dość długą i piękną, choć przyznam szczerze, dziwnie smutną... Te kępy brzóz płaczących z rozplecionemi włosami aż ku ziemi, które pochyliły się jakby nad grobami, wydały się nam pełne cichej boleści... Tamte drzewa wysokie, splatające swe konary w gęsty baldachim, niby nauczone milczeć, nie słowem lecz czynem każą działać.

Po za aleją, po za ogrodem z restauracją w której pruskie chorągwie jak sępy obsiadły dachy i drzewa, wyszliśmy na pustą, nadbrzeżną przestrzeń.

Przemsza płynie cicho...

Z drugiej strony nad jej brzegiem kozak moskiewski pasie konia. Bagnet żołnierza połyskuje w słońcu, a koń wstrząsa głową raz po raz. — W dali widnieje cały szereg czerwonych, dużych ceglanych domów, kominy sterczą jak ja kieś widma ponure i sztywne, kościół piękny, na tle nieba rysuje się profilem stylu gotyckiego. Na prawo, za przeciwległym brzegiem Przemszy, dwa słupy wbite razem...

Tu granica władcy północy i linja kordonowa Galicji schodzą się razem.

Obok nas, duży kamienny słup oznacza początek państwa pruskiego.

I cisza w koło...

I pusto w koło... tylko kozak ów z błyszczącym bagnetem po drugiej stronie, tylko Przemszy fale, trzy słupy wbite w łono Matki naszej i tylko ból głęboki a ciężki jak sieroctwo, który wpija się w serce, a szepce raz po raz...

— Granica!... granica!...

Idź duchu zwątpienia i bolu czarnego, nie wpijaj swych szponów — nie rań bezlitośnie... wszak dość patrzeć na to, dość patrzeć...

I cicho...

Trzy słupy zda się rosną, wyciągają długie, żelazne ramiona, poczynają mierzyć jak armatniemi paszczami, śmierci znaki wymierzają i czekają na wielki dzwon pogrzebu...

Jak straszno!... Ów słup kamienny z godłem pruskiego państwa zdaje mi się ma miljony swoich braci, a każdy z nich leży na piersi polskiej i gniecie ją, a męczy ją strasznie... Ów kozak wpatrzony we mnie z przeciwległego brzegu, zdaje mi się czeka, czyli nie popełnię czynu zbrodniczego, nie rzucę tamtej niwie czarnej bratniego pozdrowienia, nie powiem jej: — mojaż ty!... Jakżeż bym to rzec mógł, gdy granica przedemną?...

O tak! „granica!“ i słupy wbijacie... Mówicie — to „wasze“ i straże stawiacie. I lśnią tu bagnety, żandarmi czuwają i dzień i noc i noc i dzień... a tego nie widzą i tego nie znają, że straż, granica, to mgła to cień. Bo wasze to oczy widzą granic znaki i wasze to serca cenią owe ptaki, które swoje szpony wpiły napastniczo i wasze to kroki odległość tu liczą, bo to znaki waszych zaborów bez prawa, a nam tu jest rana — bolesna i krwawa...

Mówicie „granica“ i nad nią czuwacie... Mówicie to „nasze“ i cła oznaczacie, a tego nie wiecie, że z rosą tej ziemi, jak mgła, jak łza, jak łza jak mgła, płynie smutna skarga skrzydłami cichemi i szepce nam zawsze i w sercach nam gra, to nasza ziemia, to nasze zagony i woda i chaty, z tej strony, z tej strony; i nic nas nie dzieli, chociaż sroga blizna, bo wszystko to Polska i nasza Ojczyzna, te same tu serca, to samo śpiewanie, te same pacierze, to samo kochanie...

Mówicie „granica“! Ona nie rozdziela.

Mówicie to „wasze“, a od lat już wiela, te straże, komory, te słupy, kordony, dla serc i dusz, trud mocny trud, bo straż tu trzyma olbrzym nie strwożony lud ziemi tej, lud! polski lud!... On orze głęboko i sieje wytrwale... on kiedyś wypłynie jak wezbrane fale, inaczej zaorze skiby pograniczne, inaczej przesypie kopce te rozliczne, a wtedy poznacie, że ta blizna krwawa, to była „granica“ bez prawa! bez prawa!...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

MAKSYM GORKIJ.

# ŻYCIORYS.

**Przez B . . . . . é.**

W ostatnich czasach obok głośnego imienia najznakomitszego przedstawiciela współczesnej literatury rosyjskiej Lwa Tołstoja, wysuwa się coraz bardziej na pierwszy plan i zwraca na siebie uwagę czytającej publiczności nawet poza granicami Rosyi, młody autor, Aleksander Pieszkow, piszący pod przybranem nazwiskiem Gorkij (Gorzki).

Utwory jego cieszą się dziś tak wielką po-



KOMORA STEINHAUSER.

pularnością, że ukazują się w przekładach na wszystkie prawie europejskie języki jednocześnie lub też zaraz po ogłoszeniu ich drukiem w oryginale rosyjskim.

Powodzenie to swoje zawdzięcza Gorkij nietylko zainteresowaniu, jakie wymusiła Rosya na

Europie polityczną swoją przewagą, ale i rzeczywistemu talentowi, pełnemu siły, żywotności, a nawet poezyi, a także niezwykłej odrębności, pozwalającej mu zachować zupełną prawie niezależność od panujących dziś w piśmiennictwie prądów.

Do odrębności tej przyczynić się musiały niezawodnie niezwykłe warunki, wśród jakich upłynęło dzieciństwo i pierwsza młodość Gorkiego, warunki niezmiernie trudne i ciężkie, które mogły bardzo łatwo zdolności jego stłumić, a nawet zupełnie zniweczyć. Stało się jednak inaczej. Bez szkół, nauczycieli, przewodników, bez środków materyalnych i czyjejbądź opieki, potrafił jednak Gorkij wybić się, doszedł do świadomości własnego talentu, natrafił na odpowiednią dla siebie drogę i zajmuje dziś wybitne stanowisko w rosyjskiej beletrystyce.

Urodzony w Niżnym Nowogrodzie w roku 1868, sierota od lat najmłodszych, zostawiony zupełnie sam sobie, puścił się jako mały chłopak na życie nieustannej włóczęgi, przenosząc się wciąż z miejsca na miejsce, próbując rozmaitych zawodów, żadnemu się jednak na stałe nie oddając. Miał lat pięć, gdy odumarli go rodzice, a dziadek, jedyny opiekun malca, oddał go na naukę do szewca, wyuczywszy poprzednio czytać.

Stamtąd chłopak uciekł bardzo prędko i przeniósł się do rytownika, potem do malarza świętych obrazów, i k o n o p i ś c a i t. d., aż w końcu dostał się na parostatek, kursujący po Wołdze, gdzie służył dłuższy czas jako kuchcik. Tam poraz pierwszy zaczął czytywać książki, bo przedtem, jak się sam o sobie wyraża miał nieprzeparty wstręt do wszelkich pism i zadrukowanych papierów „z paszportem włącznie“.

Na okręcie znalazł u kucharza dość sporą bibljoteczkę, składającą się przeważnie z powieści i romansów rosyjskich lub tłomaczonych z francuskiego. Książki te pochłaniał chciwie, a pod ich wrażeniem obudziła się w nim chęć wyższego kształcenia się. Porzucił więc służbę na okręcie i udał się do Kazania w nadziei, że go tam przyjmą do gimnazjum, zrażony jednak niezwalczonemi dla siebie trudnościami, wrócił znowu do wędrownego życia.

„Burłaczył“ po Wołdze, najmował się po drodze jako drwal, handlował owocami, służył w piekarni obważanków i t. p. Ostatnie to zajęcie miało być, jak wspomina w swej autobiografji, najcięższem i najprzykszejszem ze wszystkich, jakich w życiu próbował. To ciągłe szamotanie się z nędzą, niemożność ustalenia się, ani znalezienia gdziekolwiek względnie przynajmniej zadawalniającego punktu oparcia, doprowadziły go do tak rozpaczliwego usposobienia, że w roku 1888 targnął się na własne życie. Kula go jednak oszczędziła, a wkrótce potem wezwanym został przez władze do rodzinnego Nowgorodu, by się tam stawić do wojska. Uwolniony z powodu nędznej i chorobliwej postaci, gdyż jak się sam o sobie wyraża, „dziurawych“ nie biorą, został już jednak w Nowogrodzie, gdzie po niejakim czasie otrzymał posadę pisarza w koncelarji adwokata Łanina.

Był to moment zwrotny w życiu Gorkiego. Łanin zwrócił uwagę na niezwykłą inteligencję swego pomocnika, zajął się nim szczerze i gorliwie, wspierał radą i kierunkiem, a pod jego zbawiennym wpływem Gorkij kształcił się i postępował szybko, nowe horyzonty otwierały się przed jego oczyma, a umysł rozwijał się coraz bardziej. O stosunku swym do Łanina, z którym łęczy go po dziś dzień serdeczna przyjaźń, wspomina kilkakrotnie Gorkij z wielką wdzięcznością — jemu też poświęcił pierwsze jego utwory.

Mimo tych pomyśniejszych warunków nie wytrwał Gorkij długo na miejscu i puścił się znowu w świat, a pomagając sobie czem mógł, zdeptał chyba wzdłuż i wszerz cały obszar państwa rosyjskiego.

W czasie tych wędrówek zetknął się znów z człowiekiem, który wywarł przeważny wpływ na kierunek jego życia, a był nim jeden z tak licznych w Rosji wykolejeńców, polityczny wygnaniec, nazwiskiem Kałużnyj. On to pierwszy odkrył w Pieszkowie talent pisarski, a słuchając barwnych jego opowiadań, nakłonił do wykorzystania piórem bogatego materjału, jakiego mu dostarczyły tak niezwykłe koleje życia.

Pracował on wówczas jako prosty robotnik w warsztatach kolejowych w Tyflisie, zaniósł więc rękopism do redakcji wychodzącej tam gazety „Kaukaz“.

Nowelka podobała się redaktorowi i wydrukował ją w 1892 roku.

Odtąd pojawiać się zaczęły coraz częściej utwory Gorkiego w rozmaitych prowincjonalnych dziennikach, a młody autor zjednał sobie szybko sympatję czytelników. Długo jednak pozostałby nieznanym szerszemu ogółowi, gdyby nie traf szczęśliwy, który go zetknął ze znanym rosyjskim pisarzem, Korolenko.

Ten ocenił należycie wielki talent początkującego autora, nie szczędził mu rad i wskazówek, a słuchając wspomnień jego, zachęcał, podobnie jak niegdyś Kałużnyj, do zobrazowania ich piórem i ujęcia w ramy literackie.

W ten sposób powstał „Czołkasz“, jeden z najcharakterystyczniejszych i najlepiej zapisanych utworów Gorkiego, a rzecz ta ogłoszona za staraniem Korolenki w „Ruskiem Bogactwie“ (w jednem z poważniejszych pism literackich w Rosji) zdecydowała o powodzeniu autora. Krytyka, dotąd milcząca, zajęła się gorliwie, a imię jego nabierając coraz to więcej sławy i wziętości, stało się obecnie najpopularniejszem z pomiędzy rosyjskich pisarzy młodszej generacji.

Wydane dotąd jego utwory wypełniają pięć sporych tomów, obejmujących cały szereg krótkich noweli, szkiców, opowiadań i obrazów poetycznych i dwie dłuższe powieści: „Tomasz Gordjew“ i „Troje“.

Wśród rzeczy tych zajmują niezawodnie pierwsze miejsce obrazki i opowiadania, osnute na tle życia brodiahów (włóczęgów) rosyjskich, jako najdobitniej odźwierciadlające właściwości talentu Gorkiego, a talent to żywotny, świeży, oryginalny, jeden z tych, co się żadną miarą zaguszyć nie da i daleko od szablonu odskakuje. Poczucie i miłość natury, umiejętność pochwycenia i naszkicowania w kilku rysach dramatycznej sytuacji, zdolność wywołania kilku prostemi słowy wstrząsającego i pełnego grozy wrażenia, oto znamienne cechy jego pióra. Realista w najwyższym stopniu, nie cofa się przed najjaskrawszymi opisami, malując chętnie sceny przerażające, często nawet wstrętne, realistycznym tym jednak opisom niepodobna odmówić ogromnej siły rozmachu i znacznej dozy poezji, tak w opisach natury, jak i w ostro odcinających się sylwetkach bohaterów, branych prawie wyłącznie z warstw najlepiej autorowi znanych, z pomiędzy włóczęgów, biedaków, brodiahów i tak zwanych bosaków, pozostających poza obrębem wszelkiego rodzaju cywilizowanych kategorji i określeń.

W matowaniu tych właśnie typów jest on prawdziwym mistrzem, zna on je bowiem wybornie, zna ich przyzwyczajenia, tryb życia, mowę i właściwości, rozumie psychologiczne pobudki ich postępków. Tych też właśnie ludzi szczególniejszą zdaje się obdarzać sympatją, przeciwstawiając chętnie elementarne ich instynkta, szczerość pierwotną i brutalność, niepozbawioną pewnej swego rodzaju uczciwości — pierwotnej obłudzie, chciwości i posuniętemu do okrucieństwa samolubstwu klas tak zwanych wyższych, lub choć cokolwiek ucywilizowanych w Rosji.

Niechęć do tak zwanej kultury, niewiara w dobrodziejstwa przez nią przyniesione, pogarda dla szkolnej rutyny i książkowej uczoności występują wyraźnie z kart jego opowiadań.

Uczuciom tym daje wyraz przy każdej sposobności, nie szczędząc gorzkich i pogardliwych wycieczek przeciw mniemanym nabytkom cywilizacji, dającej, zdaniem jego, uprawnienie i osłonę najniższym, najbardziej poziomym instynktom człowieka, a mianowicie chciwości, łakomstwu i bezmyślnej chęci posiadania, a tłumiącej w nim jedyne, szlachetniejsze, wyższe i nadające jakąś wartość życiu, uczucie, pragnienie i miłość swobody.

„Wiem ja, że w naszej wysoce kulturnej epoce, chwytając za gardło bliźniego celem uduszenia go, czynić to należy z możliwą uprzejmością i z zachowaniem form przyzwoitych; sam na sobie niejednokrotnie podobnego doznawałem obejścia i z przyjemnością zaznaczam tu głęboką moją wiarę w ogólny rozwój cywilizacji i złagodzenia obyczajów, czego dowodem wzrastająca coraz bardziej liczba szynków, więzień i domów rozpusty“.

„Trzeba się chyba urodzić w tak zwanem kulturalnem środowisku, by wytrwać w niem cierpliwie przez całe życie, i nie zapragnąć ani razu ujść gdzieś daleko poza obręb tych ciasnych, dusznych warunków, tych uprawnionych towarzyskim obyczajem drobnych jadowitych kłamstw, chorobliwego samolubstwa, ideowego sekciarstwa i wszelkiego rodzaju nieszczerości“.

Takich i tym podobnych zdań i określeń pełno jest w pismach Gorkiego, a ulubieni jego bohaterowie to albo owi pozostający poza obrębem społeczeństwa, żyjący z dnia na dzień, nieoglądający się na jutro „bosaki“, albo też ludzie pokrewni im duchem, lecz wtłoczeni w ciasne ramy społeczne, wśród których szamocą się naprożno. Ci ostatni kończą zwykle jakąś katastrofą życiową, obłędem, zbrodnią lub samobójstwem, ale w upadku swoim czują się jednak lepsi i więcej warci od swego otoczenia, które ciasnotą swych pojęć, obłudą i samolubstwem doprowadziło ich do zguby.

— „Powiedzcie mi, co wy za ludzie? — woła bohater ostatniej powieści Gorkiego, p. t. „Troje“, wyznawszy publicznie popełnioną zbrodnię — po co żyjecie? Patrzę ja na was i... co?... Objadacie się, pijecie, oszukujecie się wzajemnie, nikogo nie kochacie — czego wam trzeba? Jam szukał czystego, uczciwego życia, ale niema go! niema go nigdzie i sam się tylko splamiłem. Uczciwemu człowiekowi między wami nie żyć! bo zgnije. Wy uczciwych ludzi na śmierć zamęczacie. Rządzicie! sądzicie, ustanawiacie prawa. Aleście gady! zżarliście wy mnie, struli! Myślicie może, że przyszedłem tu kajać się przed wami? Nie doczekacie tego! Śmieję się ja z was! ot co!“

Ten ponury pogląd na moralną wartość własnego społeczeństwa dzieli Gorkij z wielu wybitniejszymi rosyjskimi pisarzami, a różni się od nich tem, że pesymizm ów nie nastraja go bynajmniej na ton satyryczny, nie dostarcza tematu do mniej lub więcej dowcipnych alegoryj, lecz wybucha oburzeniem i pogardą dla wszystkiego, co mu się wydaje podłem, nieuczciwem, fałszywem złem.

Wycieczki jego przeciw kulturze przyjmować należy z zastrzeżeniem, gdyż u niego takiem nadpsutem dzieckiem cywilizacji jest już nawet chłop, osiadły na ziemi, a przez przywiązanie do niej, chciwy na pieniądze aż do upodlenia — i żądny złota, a ciemny kupiec, pędzący życie w namiętnej gonitwie za zyskiem, a nie umiejący nawet użyć nagromadzonych miljonów — i niższy urzędnik, bezmyślny sługa władzy, słowem, ludzie stojący na tak nizkim stopniu rozwoju, że... pojęcie tej kultury, jaką oni mają przedstawiać, zakrawa rzeczywiście na ironję.

Ludzi ze sfer inteligencji wprowadza Gorkij niezmiernie rzadko, a typy te wychodzą u niego przeważnie blado i niemal szablonowo wobec postaci z ludu i tych różnych, pozostających poza obrębem społeczeństwa, dla których wynalazł on osobne miano: bosaków i byłych ludzi.

Malując te ulubione sobie typy, nie daje się Gorkij unosić czułostkowym i sentymentalnym objawom współczucia, lecz podaje nam obrazy życia, na gorącym uczynku schwytane, życia, co na wpół dzikie i rozszalałe, a jednocześnie w ciasnych ramach zamknięte, wytwarza atmosferę jedyną w swoim rodzaju, duszną, przerażającą, często wstrętną, a przedewszystkiem niezmiernie odrębną i doskonale charakteryzującą środowisko, z którego wyszedł autor.

W opisach owych niesłychanych wędrówek, nędzy bezdennej, głodu fizycznego i moralnego, podaje on nieraz reminiscencje z własnej przeszłości, która piętno swe wycisnęła na jego talencie, a utworom jego nadała ów koloryt szczerości i prawdy, wyróżniającej go z pomiędzy całej masy tak zwanych ludowych autorów, czerpiących sztucznie pomysła swoje z życia, dalekiego im w rzeczywistości i obcego.

Gorkij, nie goniąc za efektem, wywiera głębokie wrażenie, nie siląc się na sztuczną naiwność, owszem z pewnym odcieniem, jakby bezwiednej, a właściwej stylowi swemu dramatyczności, odsłania nam w kilku rzutach pierwotne instynktowe, ale wcale nie dziecinne dusze swoich bohaterów.

Ta posągowa niemal wierność odtwarzania, zupełny brak maniery, wreszcie pewna poetyczność, nieprzerafinowana bynajmniej, ani subtelna, ale niemniej istotna, czynią z Maksyma Gorkiego niepospolite i zajmujące zjawisko w dziedzinie twórczości literackiej, a równoważąc jednostronność i ciasnotę poglądów, łagodzą i niejako uszlachetniają szorstkość pijackich scen, opisów grabieży, mordów, bójek, jakich pełno jest w jego utworach.

Zupełnie osobny rodzaj stanowią takie rzeczy, jak: „Pieśń o sokole“, wyjątki z opowiadań staruchy Izurgil, „Zwiastun burzy“, „Przed obliczem życia“ itp. Są to poetyczne alegorje, zawierające do pewnego stopnia duchowe wyznanie wiary autora.

Krótkie te obrazki różnią się znacznie formą i nastrojem od innych utworów Gorkiego, a pisane pięknym językiem, trzymane w tonie poważnym i szlachetnym, zasługują już chyba zupełnie na miano: p o e z j i p r o z ą.

---

Powyższa przedmowa poprzedza tłumaczenie najwybitniejszych nowel Gorkiego, wydanych niedawno nakładem księgarni Friedleina w Krakowie.

*B . . . . . ć.*

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“.

Druk W. Korneckiego w Krakowie.